JANINA PRZECŁAWSKA.

Człowiek, którego kocham

Czcionkami Drukarni Polskiej w Kijowie.
1912.

CZŁOWIEK, KTÓREGO KOCHAM.

JANINA PRZECŁAWSKA.

Człowiek, którego kocham

Czcionkami Drukarni Polskiej w Kijowie.
1912.

Zdaje mi się, że widziałam go przed wiekami. Było ogromne czarnej skały cyplisko – siedział tam na szczycie. Przed nim jasny obłok i wielkie krwawe słońce, na które patrzył wprost. Czasem pochylał głowę, ale po to jedynie, aby przejść okiem z krańca w kraniec ziemię pod stopami zwieszoną i jednym ją rzutem ogarnąć. Od pogody nieba wzrok miał lazurowy, a żar słońca uczynił go ostrym.

Pamięć moja przedwieczna rozkładała i przywodziła dokładnie barwę, kształt, znaczenie każdej chwili życia człowieka, siedzącego na wysokim cyplisku czarnej skały...

W szybkich drganiach rozwijały się obrazy... widzieć mi danem było, jak podonczas prężną być umiała jego moc, jak roztoczystem pragnienie, a chwytnymi prądy myślowe.

Jak słuch natężał, a w oddech brał najmocarniejsze oddechy życia i w sobie je umieszczał.

Tak wzrastała dusza człowieka, którego kocham.

Widziałam go po przejściu wieków.

Był w wielkiej lodowej jaskini – przed nim widok nieznanej, zimnej woli. Dech zastygał w lodowcach i ze szczytów zwisał, jak sople ogromne.

Wzrok jego przecinał dal niezmierzoną, skamieniały, odarty z blasków.

Tam morze... a po niem rozrzucone szare, wązkie ziemi pasy i sztywne, milczące, nagie skały. W stępiałej grozie spojrzenia człowiek wnikał w przestrzeń. Z daleka, z daleka przychodziło czasem słońce i kładło na widnokręgi dziwy wizyjne. Wichr się porywał, skłębiał obłoki – płonęły purpurowe i groźne, zwisając nad człowiekiem, jak orkany ogniów.

Tony złote i sine przerzynały strugę mroźnych zórz, mgła biała lała się w oczy człowieka i w tym przezroczystym tumanie obezwładniały wzrok patrzył. Sypały mu się iskry na głowę – czuł je w potędze wielkiej. Czuł – on – sam jeden, człowiek, gorzący w zimnych iskrach.

Na krze daleko płynącej stawał niedźwiedź – król. W dal zastygłą wyciągał białość kłów, jak lanc ostrza – wyginał ciało długie a ciężkie, pysk wnurzał w grę powietrzną, a o wielkie lodowców ogniska i o pierś człowieka, którego kocham, obijał się jego samotny, bezbrzeżny, oszalały ryk.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

I jeszcze widziałam go po wiekach, wiekach znowu.

Rozwijał się obraz stepu.

Czarne tabuny koni rozhukane – hej! – sto hajduków oklep na grzbietach końskich lub pieszo – a przy każdym na uździenicach prowadzone nagie kobiety o włosach rozwianych, na

białych plecach szerokie krwawe pręgi i zalęk w źrenicach płochliwych. Piersi ich tylko jędrne, mocne, sterczące, jak złocistych grusz dorodność i drobne, smukłe stopy w piasku tonące...

Rozpotężniał się wzrok jego.

Koń rwał się pod nim najczarniejszy, z pyska pianę lejąc, a oczy mu na wierzch wychodziły od siły ręki, co nim wiodła.

Hej! na woli! W duszy ryczały mu jakieś głosy padolne, wtórząc jękom niewiast, krzykom rycerzy, gdzieś w ostępy bieżących na wolnych koniach, przez wolne stepy! hej! na woli!

— —

— —

Postać jego zawsze rysowała się wyraźna.

Twarz smukła, nos orli, wydatny, czoło jasne, oko pełne

słodyczy w dniach pogody w mgnieniu jednem mieniło się na odgłos burz.

Ostro, sępio patrzyły wówczas oczy okrutne, dzikie, gniewem władcze, oporem wrogie, wolą miażdżące.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Po wielokrotnej zmianie czasów widziałam go znowu.

Mieszkał w starem, wiejskiem dworzyszczu.

Bluszcz owijał ściany i w okna patrzył wraz z zapachem świeżej łąki i jaśminów.

Na ganek szeroki wychodził człowiek on i stawał tak w słońcu, aby przyjąć pierwszy jego promień.

To mu przywodziło dawność, majaczyły mu się widy, nie-

powiązane myśli przychodziły do niego. Układał je w sobie tak długo, aż życiem się stawały.

Mnogość ludzi, mnogość zdarzeń, przejścia wytężonej woli. Załamywały się promienie w oczach przymknionych, a gdy je roztwierał, sączyły się jeszcze długo przed nim świetlne blaski i czarne, wielkie tańczyły plamy. Te czarne plamy pozostawa- ły w źrenic odbiciu i smutny uśmiech biegł przez usta wydat- ne, kiedy patrzył na mech, obrastający ściany, opleśniałe ka- mienne wschody i mętne wysokie okna, które mu słońce kryły.

Z wnętrza wychodził gwar zmieszanych, różnorodnych głosów. Gwar ten, były to sprawy poza nim – nie wchodzące w skład myśli jego, zrodzonej z słonecznych kędyś zapatrzeń – stężałej w łzach lodowców i rozszalałej później stepu odetchnieniem.

Tu przy nim nowe tworzyło się życie, widział, jak szło na przekór temu, co w nim było.

Wsłuchiwał się w nie, jak przybysz z daleka. Dusza w nim inna kładła się na krawędzi przemian – niekorna i wroga.

I uczuć nieznanych mu, tętniących zgrzytliwie, nieroztęcz-niałych jeszcze wyrazem, rósł kształt niepewny w ponurem oświetleniu i w burzy krzyków.

Opleśniały mu ściany domostwa, smutek wiał od domu, gdzie szczęście założył.

Sam wznosił je wolą własną. Budował piędź po piędzi dobytek życia, dzięki onej zapamiętałej władzy pragnień, która dziś stawała się bolesnem wytężeniem. Czoło jego chyliło się od myśli natłoku.

Z nad dworu – gdzieś coraz bardziej rosły głosy w gromadnej jakiejś mowie, rozpływającej się w jeden niesforny hałas.

Po obliczu człowieka przebiegał silny skurcz między zarysem ust a wgłębieniem oczu i zmieniał go całkowicie.

To bywało w dniach, które już nie stały w minionych epok oddaleniu, a były owem dzisiaj żyjącem silnie.

Całem ciałem czynił ruch, jakby coś gwałtownie odpychał. Silną, rosłą postacią chylił się poprzez obramowanie bluszczu, a głos brzmiał donośny w rozdrażnieniu:

«Bogna! Bogna!»

Kobieta stawała u progu.

Smukła była i jasna. Z pod rzęsy złotej oczy jej złotem patrzyły, a po tęczówce igrały ciemne plamy od tego złota źrenic.

Usta nosiły ukojeń znamię. Słodkie były jak miód i mio-dem wcisnąć się umiały w wargi mężczyzny.

Kibicią zwinną umiała opleść się dokoła jego bioder i przyl-gnąć piersią białą, jędrną, wonną ku silnej piersi jego. Umia-ła być rozpłomienień warem, niepamięci zdrojem, unicestwienia zawrotnem szaleństwem.

Teraz oczy człowieka migały groźnie i ostrzem swem kłó-ły kobietę.

Skuliła się pod tym wzrokiem, pradawny lęk ją ochwycił, gdzieś na dnie jej istoty przyczajony i kazał stanąć poddańczo, w nie-wolnem schyleniu, jakby winę jakąś ważąc i kary oczekując.

— Bogna! — powtórzył ostrzej, patrząc wprost w jej złote źrenice — «Bogna, co to znaczy znowu?»

Nie odpowiadała, wsłuchana niespokojnie w echa przynoszące jeszcze te głosy zmieszane i szybkie kroki coraz ucichające. Gdzieś na dalekim gościńcu wyłaniał się obraz różnobarwny tłumu, idącego ode wsi w szlak czarny nad polem zielonem. Bogna pogoniła tam oczyma i stała przed człowiekiem, jakby nieobecna, duszą chwycona w marę obcą mu i nieprzychylną.

Po twarzy mężczyzny, nagle w gniewie pobladłej, przechodziły szybkie nerwowe drgania. Wzrok jego błądził także ostry, przenikliwy tam, gdzie parły się tłumy, zamieszane w pstrą kolorów tkaninę, która w miarę oddalania mieniła się niewyraźnie barwą szarą w pyle ulicznym niknącą.

Bogna! Ją tak porywały wichry, uwodziły promienie, usidlały przędze rozsiane po łanach, że przepadała na dni wiele

daleka od życia człowieka. Stawali osobno! on, w wizyi form zaginionych, w których rodziła się dusza jego dzisiejsza, zmagając siłą swą narzucające się jemu więzy nowych kształtów i ona – kobieta, niewolne dźwięków chwycone echo, połysków odbicie, nieznanych bólów wcielenie.

Ona! mgła snująca się na przewalach, rosa na kwiat spadająca, cień przytulony w rozwitych drzew białym chramie.

Rozełkaniem całej istoty chroniła się w objęcia jego silne, co zgarniając czar jej świeży rwały gon myśli, poczętej w jednej godzinie.

Sprężysta i rącza wybiegała poza ramiona człowieka, nieustannie tęskniąc pamięcią, wołając przeczuciem.

Gdzie? gdzie?

Hen w te błędne obłoki, miotane wichurą, hen w purpur rozkrwawienie — w migoty złotem kapiące i łzawą źrenicą obijała się o tę calutką, czarną, smutną ziemię...

Wzrok człowieka nie ścigał jej — osmętniały nagle, odwracał się obojętny jej istnieniu. Zamykał oczy, by śnić dzikość stepową i niewolnic plecy białe, smagane biczem jego.

Słyszał głos swój raźno grzmiący rozkazem, który mu stu hajduków do nóg przywlekał.

Otwierał wonczas oczy i niechętnie wodził dokoła. Gdzie był on?

Wtłoczony w ciasny horyzont wsi, wśród łanów pszennych osiadłej, a przy nim Bogna — kobieta — żona — kochanka — o ustach pocałunkami wrzących i oczach z tęsknotą słoneczną. Szedł zdala od tej tęsknoty, której znaczenia rozumieć nie chciał.

Tak się mieniły lata.

Czasem w rozpylonej jasności przejrzystych jesieni, kiedy w cichych szmerach spadają liście na ziemię, pozwalał jej mó-wić, a twarz jego kryła się łagodnem myśleniem.

— Mów, Bogna, i do mnie zbliż twarz swoją — głos twój słodki, a twarz twoja rajem pachnie.

Bogna chyliła ku niemu twarz jasną i porywistem słowem wiodła go, gdzie chciała.

Płynęły baśnie o gwieździstych twarzach, o drogach wol-nych, po których każdy szedł zamyślony...

W jej słonecznej źrenicy odbił się kiedyś świat taki...

Słowa jej zabierały mu siły — zapadał w omdlenie, a ona rozpalała mu żyły litośnem wrażeniem, płaczem nad całej zie-

mi nędzotą całego bogactwa podłością, każdego prawa bezprawiem.

Zdawało się, że patrzyła widzeniem tajemnem w bieg mających przyjść zdarzeń. Gdzieś poza formy istotność, poza obrazów konkretność rosły uczucia jej, wtłaczając świat odmienny w myśl człowieka. Przed nim w tłoku rozbestwień okrutnych snuły się mary, nagle rzucające mu przeświadczenie win wielkich, krzywd wiekowych...

Głosy wyły w nim, jak furye, wywlekając przed duszę jego zniepráwień strasznych tumany.

Tracił swobodę, trzeźwość sądu, grunt woli twardej – wił się bezsilny w śnie strasznym, który mu ona śnić kazała. Pot zimny umęczenia sperlał mu skronie i mimowiednie ściskał do zdruzgotania rękę kobiety.

Słodkie oczy Bogny zawisały na jego źrenicach.

«Wszystko to wyjść musi – szeptała – wszystko, z jam, kryjówek, nor, podziemi – musi wyjść, aby zginąć na wieki.

Człowiek odwracał się, bólem walki przeczuwanej owładnięty i już nie znajdywał swej dawnej mocy.

Bogna odchodziła, jak szum zawiei.

I przychodziły długie dni, w których dusze ich żyły w odtrąceniu od siebie – samotne, ważąc coś i rozpatrując odrębnie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Teraz miał ją przed sobą, ukorzoną napozór i drżącą – ale w duszy jej czuł walkę, która budziła w nim zawsze protest.

Twarz jej mieniła się niespokojnie, oczy jak żar zabłysły,

bezładnie do kolan opadły jej włosy – łuki brwi ściągnęła ostro – myśl wznawiała wykochane obrazy. Urok ich musiał być wszechmocny, bo znikł bez śladu ów zalęk pierwotny – podniosła wzrok na twarz człowieka i mówić zaczęła szybko.

– Słyszałam dziś wielki szum morza i widziałam zblizka bezliczne zarodki życia w każdym bryzgu piany. Bez kształtu, bez barwy to było. Uczyłam się szukać tam tonów odmiennych, praw kształtu, praw barwy różnej od mojej i twojej – słuchać jak rodzą się życia i wyczuwać ten mus zwołujący, aby zrozumieć.

Człowiek poruszył się, nie patrząc na nią, a głos mu się dobył z głębi stłumiony.

«Bogna – dzisiaj i wczoraj i co dnia słyszę kur piejący

i krakanie posępne kawek i wron. Zlatują chmarą na zieloną trawę, pokrywają ziemię wyoraną i lśniącą – jeno wrzask ich słyszę – dławią, cisną w serce. Zmora ta targa mnie, z sił opadam, duszę się – nie mogę... Nie mogę...

Wpatrzył się osłupiały przed wizyą znów nadchodzącą. Wiedział, skąd mu szła ona... w bezmiernem natężeniu czuł dokładnie każdą wibracyę nerwów, przechodzącą przez umysł Bogny i przed siłą tej myśli upartej czuł ból straszny, okrutny, który mu ścinał struny głosowe i wylot własnej myśli ograniczał.

Cierpiał wciąż bardziej, odkąd szybkonośna myśl kobiety starała się mary swe w czyn ubrać. Odkąd mu poczerniało w domu jego od tych postaci grubych, w zarysach szorstkich,

trywialnych, które zuchwale przed oczy mu się cisnęły, jakby mu plunąć chciały.

– Bogna! praca stała się żebraczką od chwili, kiedy się zdało, że każdy, gdzie chce, sięgnąć może. Zdobyczy niema nikt – a ręce rozłożą się chciwe po trudach cudzych...

Bogna!...

Głos mu wybiegał, jak zgrzyt.

Czem chciała być w tem powikłaniu pojęć ona – kobieta – niewolnica... drobiazg życiowy, wyrzucony przez fantazyę twórczą?

Ha! ha! ha! Nienawidził jej prawie – wydarłby z rozkoszą ostatni błysk świadomy, który zagrał jeszcze w jej mózgowych zwojach, ostatni przypływ natchnienia, co piersi jej wolnym oddechem rozszerzył.

Wpatrzył się w nią teraz. Ręce jego twarde, muskularne wżarły się w wątłość jej ramion, zgiął ją prawie do ziemi i ostrym głosem zasyczał:

– Precz!

Bogna sprężyła się nagłym odruchem i, wsparta o drzwi, stanęła.

Od włosów jej pobiegły gęste iskry, a na twarz liście rzuciły odblask zielony.

Stali oboje, ciężko dysząc.

Głowa kobiety podniosła się wyżej, jakby wraz z doznaną obelgą spłynęło ku niej władzy jej stwierdzenie.

– Bogna! czy ci kazałem zapisać imię każdego nędzarza, co otarł się o mur domu naszego, prosząc litości.

Głos Bogny przeleciał jak tchnienię.

– Tak!

– Bogna! czy koło domu naszego i dalej, dalej po gościńcach nam znanych nie widać przysiadłych i czekających?

– Nie! – brzmiało znowu.

– Czy w ogrodzie naszym oddychają wątłe płuca, a blade twarze czy odzyskują rumieńce?

– Tak!

– Czy niema głodnych koło nas, a smutni czy otrzymują pociechę w domu naszym?

Skinęła głową, milcząc.

Oddech jej stał się szybki i urwany.

– Bogna!

Usiłował hamować się — usta mu przeszył uśmiech wszechmocny, a w głosie porwały się tony potężne.

– Rozumiesz, Bogna! Rozumiesz! Od jednego uścisku mej dłoni, od jednej hojności serca, od natężenia woli poweselały twarze. Moją jedynie była walka i myśl moja — a co im do tego? ja mogłem!

Stanął tuż przy niej, usiłując złowić jej spojrzenie, które miało w sobie głębin wymowę. Dziwiła go moc, z jaką mu opór stawiała — boleśnie czuł myśl jej, bijącą mu duszę.

– Bogna! rozumiesz! Nie zniosę rodzących się woli, któreby przez świadomość moją nie przeszły. Na proch je zetrę, bo mi duszę więżą, nie dając zaspokojeń — nie dając wylotu żadnej władzy nowej, jasnej. Marne to, nikłe — przez grogi

śpieszą, wyjąc głosem, bo jeno im głosów urosły prawa, a myśli jednej, czystej, mocnej – niemasz!...

– Ty nie wiesz – ciągnął dalej, a głos mu zadrgał cieplej, serdeczniej – ty nie wiesz, ile sił we mnie, aby zatoczyć w świat wielki wóz rozkwitu i dobra dla innych. Patrz! te żebracze twarze tak czuć niezdolne! Zaśmieją ci się, gdy dojrzą pustkę w skarbcu, niemożność w dłoni. Rozumiesz! liczyć trzeba tych, którym dajesz, aby widzieć później ich twarze pochylone, każdą z osobna i pamiętać.

Ukrył wzrok pod ciężką powieką i przechadzał się szybko po kamiennej posadzce.

Bogna dłonie obie na twarz swą pokładła – patrzyła w siebie. Uczucia rozprężone stawiały jej widzenia, które ułożyć

usiłowała. Wielkiem, bolesnem skupieniem malowała się jej postać, cała w tył odrzucona w ramie zielonych liści.

Daleko – daleko – szły widzenia Bogny.

Na świeżej porębli lasów zazieleniały znów pędy żywotów – mocno skuliły się koło pnia macierzystego, tryskając zarodzią soków w niwę szeroką. Z jednego powalonego olbrzyma wyrosłe – rozchodziły się coraz dalej – obfite – rodzajne – siewy życia.

Czucia Bogny miały niemal własność materyalnego dotyku, tak się spajały z drganiem serca ziemi, wyczekującej w zjednoczeniu i harmonii szczęścia swych dzieci.

Fala przypływu odniosła jej teraz dopiero słowa człowieka.

– Ty nie wiesz, ile sił we mnie, aby zatoczyć w świat olbrzymi wóz rozkwitu...

Swiadomość istoty jego ogarnęła nią, jak płomień...

Był on – tam – człowiek na przełomie wieków świadczący – mocny w sobie przez żywiołowe tchnienie sił twórczych, tkwiący w epokach czynu samorodnego – wrosły w siłę swych ramion szerokich – i w giest władczy swej ręki...

Przemijający obłok stalowym cieniem zakrył mu twarz...

Podniosła nań oczy, miłością gorzące.

– Bogna!

Głos człowieka, którego kocham, zabrzmiał jakby niepokojem nowym.

Nagłym, niespodziewanym ruchem, kobieta gibka jak łania, porwała się żywo i do kolan mu przypadła.

Dłoń człowieka zaciężyła na głowie jej jasnej.

Tak pozostali długą chwilę w milczeniu.

Dusza kobiety uniosła się ponad barw zmienliwość, ponad nieuchwytną tajnię odmienności przeżywań... Kłoniła się jasna i lotna uczuciem radosnego trwania miłości nieogarnionej.

W obłoku sinym niosły się poszepty tłumionej woli:

«Nie rozlać się nam w rozproszeniu!

«Nie rozpłynąć po eterach wyczuwań!

»Nie ginąć w powstawaniu niewiadomego!»

Prądy natężonych władz myślowych po raz pierwszy – w bezmiernym wylewie miłości kobiety – zadrżały wspólnie.

Dusza człowieka przeniknęła głąb jej myśli.

Zespalając się z nią, szła przez bezdroża cierpień, przezierając boleść wysiłków ziemi...

Szła z nią razem znękana i szara ponad bezmiary litości — wżywań się w miliony bezwiedne, samopas idące.

Przystawała w udręczeniu i zaniku mocy własnych, które mu pierś opalały.

To wszystko brała w siebie dusza człowieka.

I drżała męką przeczuć nieugaszonych, bólów nieprzebytych, trudności dróg.

Drżał on, piersią wszechmocy dech zwycięzki tłumiący, że nigdy — nigdy krzyk takiego ogromu twórczości nie rozpędzi się w masie przez światy!

Że nigdy w pogmatwanej, nieudolnej ciżbie nie wstanie woli świadomej potęga!

I ból go oplatał, że mogą nie wyjść te w piersi jego od-

czute władze szczęścia – miłości – ofiary, że mogą w bezgranicznej pustyni ludzkiego tłumu zaginąć przedwieczne myśli świata...

Tak w przerażeniu smutnej swej świadomości człowiek, którego kocham, wpatrywał się w jakąś otchłań przeogromnego bólu, złamań się, pogmatwań, rozbicia...

— —